



TOMASZ SOBIERAJ

GRA

Tomasz Sobieraj

GRA



Studio Komunikacji Wizualnej

2008

Copyright © by Tomasz Sobieraj, 2008

Projekt okładki
Ariel Cohen

Rysunek na stronie tytułowej
„Zamyślony smok”
Wang Huei

Redaktor
Wioletta Witak

Fotografia na I stronie okładki
z cyklu „The Lockless Door”
Tomasz Sobieraj

Fotografia autora na IV stronie okładki
Monika Sobieraj

ISBN 978-83-908983-2-2

Wydawca
Studio Komunikacji Wizualnej
ul. Szkutnicza 1
93-469 Łódź

ZAMIAST WSTĘPU

Nie ma sztuki bliższej filozofii, szczególnie metafizyce i etyce, niż poezja. Bo chociaż uwodzi zmysły, porusza wyobraźnię, sprawia, że marzymy i przeżywamy, to w swojej najwyższej formie zmierza przede wszystkim do ujęcia istoty bytu, w sposób zwięzły, a jednocześnie precyzyjny i sugestywny. Gdy poezję uprawia filozof, często staje się ona filozofią - rozmyślaniami o życiu, poszukiwaniem prawdy. Wbrew przemijającym modom, opierając się intelektualnym kataklizmom, taka wyrafinowana twórczość nadal powstaje na samotnych wyspach Poezji, szczęśliwych, bo zazwyczaj omijanych przez rozwrzeszczane tłumy turystów, często nawet nieświadomych gdzie są. Taką samotną wyspą, niezwyklej urody i tajemniczą, jest twórczość Tomasza Sobieraja, artysty wszechstronnego, którego poezja jest filozofią, a filozofia poezją.

Kiedy od polskiego wydawcy otrzymałem propozycję spotkania z Tomaszem Sobierajem i napisania krótkiego eseju - wstępu do tomu jego wierszy, ogarnęły mnie mieszane uczucia. Z jednej strony, byłaby to świetna okazja do poznania autora, którego lirykę i prozę uważam za najciekawsze dokonania literatury ostatnich kilkudziesięciu lat i wielokrotnie przekładałem na język niemiecki; z drugiej, ryzykowałem spotkanie z tajemniczym, niechętnym mediom bohaterem mrocznych zazwyczaj legend. Po chwili wahania zdecydowałem się jednak na przyjazd do Polski, wychodząc z założenia, że to niepowtarzalna okazja skonfrontowania mitu z rzeczywistością. Nie liczyłem jednak na ciepłe przyjęcie - pamiętam, jak kilka lat temu wysłałem mu pierwsze tłumaczenia jego tekstów wraz z entuzjastycznymi recenzjami. Odpisał wtedy na kartce

wyrwanej z *Kalendarza Ogrodnika* „Ich verstehe Deutsch nicht” i podał numer konta bankowego.

Przed bramą domu artysty stanąłem późnym popołudniem. Nieduży, w kształcie sześcianu budynek, gęsto porośnięty winobluszczem i glicynią, wtopiony w ogród o raczej romantycznym, angielskim charakterze, stanowił zaprzeczenie moich wyobrażeń o siedzibie mrocznego poety i myśliciela. Przed domem otwarta przestrzeń kwitnących wielobarwnie łąk, ciągnących się do rzeki, obok niewielki zagajnik, tuż za nim prawdziwy las, z wiekowymi dębami i sosnami. Gdy zastukałem w skrzynkę na listy (nie było dzwonka), do lekko nadwerężonej zębem czasu furtki dopadł olbrzymi czarny sznaucer, nieufnie węsząc wilgotnym nosem. Jego pan pojawił się po chwili.

Zbliżał się do mnie mężczyzna ubrany tylko w krótko obcięte, postrzępione i obcisłe džinsy, na stopach skórzane sandały. Opalony, budowa ciała apollinińska - obraz nie pasujący do powszechnego wizerunku mizernego, zszarzałego poety. Do tego delikatne dłonie, wąski, prosty nos, i to zniewalające, ironiczne, inteligentne spojrzenie zielono-granatowych oczu. Stałem przed lordem Byronem naszych czasów.

Zgodnie z umową, miałem spędzić tydzień w domu artysty niepokornego, mistrza wielości znaczeń i intelektualnej gry między dosłownością, metaforą i niedopowiedzeniem, który jest lepiej znany zagranicą (w przekładach nawet na chiński) niż w rodzinnym kraju, który mówi i robi co chce, trzyma w sypialni nabitą broń, pali papierosy, łamie przepisy ruchu drogowego, popiera związki homoseksualne, publikuje w anarchistycznych pismach oraz, co zapewne jest najmniej poprawne we współczesnym tzw. zachodnim

świecie, gardzi demokracją, politykami, warzywami i gwiazdami popkultury. Jednak te kilka dni spędzonych w domu artysty sprawiło, że zdjął budowany latami pancerz i objawiła się postać zupełnie inna - a raczej głębsza warstwa tej samej postaci. Poznałem człowieka delikatnego i wrażliwego, otoczonego bliskimi, rozkoszującego się chwilą, co w połączeniu z niezachwianym wizerunkiem myśliciela i erudyty sprawiło, że jego utwory wydały mi się jeszcze głębsze i bardziej zagadkowe, niż usiłowałem to przekazać moim studentom. Poznałem prywatną, jasną stronę artystycznej osobowości, której głos, pewny i silny, trafia w samą istotę świata i ludzkiego bytu, uderzając słowami podobnymi kryształom górskiego kwarcu - lśniącymi, czystymi i twardymi, ujawniając jednocześnie wiele namiętności, pasji, gniewu i miłości. Pod maską cynizmu i ironii skrywał się romantyk, który, aby nie być w sprzeczności ze swoim artystycznym sumieniem, odrzucił popularność i uznanie, wybrał wewnętrzną banicję, licząc na zrozumienie nielicznych, nie zadowolających się jedynie pospolitym skubaniem trawy.

Także mój sposób interpretowania twórczości artysty uległ w tym czasie poszerzeniu. Do tej pory koncentrowałem się na powłoce utworów, minimalizując znaczenie pozostałych, głębszych warstw ich złożonej konstrukcji - podejście nazbyt powierzchowne, pozostawiające wiele niezbadanej, pulsującej pod skórą żywej tkanki. Bogactwo stosowanych przez autora *Gry* środków przekazu poetyckiego (ironia, aluzja, przemilczenie, niedopowiedzenie, parabola, operowanie kontrastami) połączone z obserwacją stanowiącą często punkt wyjścia, z pozornie błahym szczegółem nakreślonym zwięźle i precyzyjnie, oraz z gęstością znaczeń, wymaga od czytelnika nieprzeciętnej aktywności intelektualnej - co nie przyczynia się do popularności tej poezji. Jak zatem odczytywać utwory Tomasza

Sobieraja, aby nie traktować ich jedynie w kategoriach mistrzowskich warsztatowo, ironicznych krytyk współczesnego świata czy pełnych sprzecznych napięć, intelektualnych gier z czytelnikiem? W tym przypadku, nawet najbardziej wnikliwe prace interpretacyjne mogą okazać się niewystarczające, jeśli czytelnik zanurzony w jakże często naiwnych rozważaniach krytyków, samodzielnie nie wprowadzi w życie zapomnianej, skazanej współcześnie na unieważnienie idei estetycznego sokratyzmu, według której świadomość i rozum implikują piękno. Bez zrozumienia, że sztuka powinna być metafizycznym dopełnieniem wiedzy i rzeczywistości, bez istotnego wkładu umysłu, całą twórczość Tomasza Sobieraja - nie tylko literacką, można pojąć, a raczej odczuć, jedynie powierzchownie, w kategoriach wrażeń. Ale to tak, jakby patrzeć na spokojne wody oceanu bez możliwości poznania, jaką daje zejście w głębinę.

Czas spędzony w domu artysty, rozmowy i milczenie, udział w zwyczajnym, domowym życiu, pracy w ogrodzie, przygotowaniu posiłków, wielokilometrowych wędrówkach, to czas poznawania. Dowiedziałem się o sobie i o nim tyle, ile żaden dyplomowany psychoanalityk nie byłby w stanie wydobyć z podświadomości. Do tego psychoanaliza była darmowa - nie licząc sześciu butelek Bordeaux, które przywiozłem ze sobą. Ustaliliśmy jednak, że nie powinienem się dzielić tą wiedzą już teraz. Wiem, że we współczesnym świecie odwróconej aksjologii należałoby tak zrobić, ja jednak, podobnie jak autor *Zamku*, zostanę przekorny. Zaś dla tych, którzy nie chcą zejść w głębinę zupełnie bez przygotowania, fragment eseju krytycznego Johna Kendalla poświęconego artyście z *Dictionary of Contemporary Artists*: „Twórczość literacka Tomasza Sobieraja - wyrafinowana, wielowarstwowa i symboliczna, wymaga od czytelnika dojrzałości, braku uprzedzeń, wiedzy, nierzadko

filozoficznego przygotowania. Artysta wykracza poza pospolite schematy zarówno myślenia, jak i konstrukcji utworów, dając przykład świadomego działania artystycznego, tworzenia jako aktu rozumu i woli. Jego wiersze i opowiadania, pozbawione gadulstwa i banału, cechuje logika, doskonały warsztat, krystaliczny język, nastrojowość, a często także czarny humor, podkreślający pozorną i absurdalność świata. Wyraźne w utworach artysty echa romantycznej tradycji europejskiej (Friedrich Hölderlin, George Gordon Byron), łączą się z sugestywnością i niedopowiedzeniem poezji chińskiej (Tao Quian, Du Fu, Li Bo), a niekiedy też dyskretnie z poetyką takich twórców, jak Walt Whitman, Robert Frost czy Allen Ginsberg; w jego prozie można doszukać się wpływów Thomasa Wolfe'a i Rolanda Topora, w filozofii - idei neokonfucjańskich, neotaoistycznych, poglądów Edmunda Husserla, Fryderyka Nietzschego i Stanisława Ignacego Witkiewicza. Twórczość Tomasza Sobieraja to genialna synteza antytez: niezwyklej indywidualności i literackiego dziedzictwa, spontaniczności i dyscypliny, intelektu i impresyjności, metaforyki i dosłowności, sugestywności i precyzji, to nowa jakość w literaturze, nie podlegająca prostej klasyfikacji, wymykająca się krytykom i wprawiająca w rozterkę czytelników”.

Georg A. Fichte

„Żeby napisać mądry wiersz trzeba wiedzieć więcej niż jest w nim wyrażone. Świadomość wyprzedza jakiegokolwiek środki wyrazu. I ten żal, że zostajemy w pamięci ludzi głępszymi niż byliśmy w naszych chwilach ostrego zrozumienia”.

Czesław Miłosz, *Nieobjęta ziemia*

Tysiąc kawałków

Kiedy zaczął się czas
Powstałem z tysiąca kawałków
Potwornych tętent koni
Wypełniał jeszcze
Twarde zielone myśli
Stonogi pod polnym kamieniem
Włożyłem na suchy grzbiet
Pelerynę ze smutnych gwiazd
Wypląnąłem w przestrzeń
Poszukać granic
Wolność unosiła wysoko
Cel idealny
Znalezienie prawdy
Był blisko jak ogony komet
Albo skrzydła czerwonych smoków
Cel realny
Prawdy poszukiwanie
Może był jeszcze bliżej
Połknąłem srebrne motyle
Upadłem na niebo
Widziałem jasno
Drogę do ideału
Nie była prosta

Za to malownicza
Wiła się w górę
Pośród drzew i strumieni
Zbudowana z tysięcy kawałków
Granitowych myśli
Małych prawd
Z których każda składała się
Z tysiąca mniejszych
Szukałem okrucha
Innego niż wszystkie
Raniąc dłonie i kolana
Znalazłem nieco twardego kwarcu
Szyszki i zgniłe liście
Podniosłem się i pobiegłem
Może wyżej
Gdzie jeszcze nie było ludzi
Leży jakiś kryształ

Sen

Znużony drogi monotonnym żarem
Zapadłem w traw łono ościste
Powiekami snu dotykałem
Widziałem w nim głowę człowieka
Bez ciała mówiącą
I ptasie szpony tańczące
Chyba walca
Owoce dziwne
Na dłoni martwej
I postać kobiety okrytą
Czymś na kształt prześcieradła
Zapewne śniłbym tak długo
Wonią traw odurzony anielską
Gdyby nie chmury czarnej
Deszczem cieknące cielsko

Gra

Na skale czarnej
Przysiadły anioły
Zwinęły skrzydła
I wyjęły kanapki
Z niebiańskich chlebaków
Wesoło majtały nogami
Śmiejąc się i zajadając
Pszenne bułki z salcesonem

Dolina pod skałą
Była szczęśliwa
Żyzna ziemia rodziła kwiaty
I rzadkie owoce
Mężczyźni mieli silne ramiona
Kobiety nosiły warkocze
Właściwie
Nie było niczego nadzwyczajnego
W szczęśliwej dolinie
Życiu ludzi
Ani w nich samych

Anioły wytarły usta obłokami
(młodość nie zna dobrych manier)

I dla zabawy zalały dolinę
Wezbranymi wodami rzeki
Pokładały się ze śmiechu
Widząc jak ludzie walczą o życie
Swoje i bliskich
Żeby było zabawniej
Dorzuciły jeszcze choroby
I nieco ognia
Ocalonym nie było łatwo
Podnieść się z kolan

Bóg odsłonił rąbek błękitu
Sprytnie chłopaki - powiedział
Jutro pogracie z drugiej strony Ziemi
W wybuchy wulkanów i huragany
A w przyszłym tygodniu
Zrobimy sobie jakąś wojenkę
Rzeź Ormian albo holokaust
Na dzisiaj wystarczy zabawy
Chyba że chcecie powrzucić sobie
Dusze do piekła
Za to są dodatkowe punkty

Człowieka wykuwa się młotem

Wbrew temu co sądzą naiwni
Człowieka wykuwa się młotem
Najlepiej w twardym kamieniu
Zrodzonym w piekielnym ogniu
Wnętrza Ziemi
Potrzebna jest także myśl
Stalowe dłuto
Siła mięśni i czas
Owszem, można ulepić coś z gliny
Lub innej nietrwalej materii
Nadać człowieczą formę
Kalekiej substancji
Nawet pokryć ją złotem
I wielbić pustą urodę
Czy pisać mądre traktaty
Jednak to tylko figurka
Niewolnik z glinianych zastępów
Człowieka
Wykuwa się młotem

Zdarzenie

W gruncie rzeczy
Ludzkie życie
To całkiem zwykłe zdarzenie
Jakiś epsilon
Trwający chwilę
W doskonałym systemie czasowym
Życie mojego psa
To też tylko zdarzenie
W systemie nieco mniej doskonałym
Życie pchły mojego psa
Również nie jest niczym innym
Tylko zdarzeniem

Takch zdarzeń jest wiele
Można je podzielić na zbiory
Przypisać zmienne
Opisać wzorami
Wtedy
Wyglądamy jak układ równań
Na pomiętej kartce szaleńca
Chyba, że jest jeszcze gorzej
I jesteśmy już tylko
Zwykłą kolonią istnień

Na pożywce
W końcowej fazie
Eksperymentu

Pod Mnichem

Wokół
Tak cicho
Skały milczą wyniośle
Obłok
Rozdarty nad szczytem
Kwiaty goryczki
Drżą spragnione
Rozumny
Spokój kamieni
Kobalt wody
Śpiącej
Piękno
Samotnej wędrowni
I tylko czasem
Wiatru szept
Namiętny

Dar

Ty, myśli gniewna
Początku mojej wędrówki
Nieśmiertelna idea
Szaleńca
Zabij mnie teraz
Albo daj życie nowe
Lecz przestań
Palić ogniem pozoru

A jeśli jest to ponad twoje siły
Uczyń mnie niewolnikiem
Zetrzyj mą pamięć
Na pustynny pył
Ten dar
Uczyni wszystkich
Szczęśliwymi

Łatwość

Jakie to łatwe!
Chwyciłem krzywą
Z gwiaździstego nieba
Taką zwykłą
 $y = ax^2$
Zawieszoną bezpiecznie
Między Wenus
A nosem Wielkiej Niedźwiedzicy
I z gracją podzieliłem
Na nieskończoną liczbę
Zupełnie prostych odcinków
Idealne pochodne
Rozpierzchły się
Po nieboskłonie
Chichotały
Jak małe dziewczynki
Próbowałem je uporządkować
Siłą rozumu i woli
Ale tylko czasem
Udało mi się stworzyć piękno
Bryły o tysiącach ścian
Niekiedy regularne wieloboki
Jednak nic równie doskonałego

Jak ta krzywa
Nie powstało
Nawet filozofia mi nie pomogła
W tworzeniu
Musiałem
Poprosić Boga o pomoc
A on
Tylko skinął ręką
I już...
Wrócił porządek

Dzisiaj

Moja matka
Jak zwykle patrzyła przez okno
Wsparta na poduszce
Świadku
Naszych prywatnych historii

Jednak dzisiaj
Podwórze było puste
Jak nigdy dotąd
Nawet dzieci
Porzuciły swoje zabawki

Zbiegłem po schodach
Mijając płaczącą kobietę
I dziewczynę
Stojącą z nieznajomym

Na ulicy spokój
Tylko dumne chorągwie
Pranie
Wiszące w poprzek
Dalej, portret papieża
Na fabrycznej ścianie

Suche drzewo
I cisza
Czerwonych cegieł

Pośród umarłych domów
Droga wiodła do przyjaciół
Stojących na rynku ze starociami
Ale i oni zniknęli tajemniczo

Stałem tak samotnie
Na opuszczonym placu
Gdy pojawił się sąsiad
Z kradzionym psem
Powiedział, że wszyscy poszli
Oglądać jakąś świątynię

Więc my też
Ruszyliśmy w stronę Chrystusa
Prowadzeni radosną wrzawą
I ciekawością

Ujrzeliśmy go
Jak błogosławił
Nową stację benzynową

Nadzieja

Dzisiaj
Gdy idę na spotkanie
Całkiem już pewne
Nieuniknione
Widzę wyraźnie
Moje życie
Kokon poczwarki
Pięknego motyla
Barwnego kochanka
I znawcy kwiatów
Zbyt słabego
By się wydostać
Ujrzeć cuda ogrodu
Z innej perspektywy
Niż żerująca gąsiennica

A może
Byłem jedwabnikiem...

Nienawidzę małych miasteczek

Nienawidzę małych miasteczek
Takich z ryneczkiem pośrodku
Białymi krawężnikami
I klombami czerwonych pelargonii
Mdlących zapachem wyczekiwania

Nienawidzę tych wąskich
Sennych uliczek
Małych domków wśród malw
I sprzedawców cukrowej waty
Z żalobą za paznokciami

Nienawidzę smutnych koni
Ciągających leniwie na jarmark
Wozów z babami w koronkach
I rumianych dzieci przed sklepem
Zajadających słodycze

Urodzić się w takim miasteczku
To gorzej niż nie urodzić się wcale
Wyrok życia
Jest tutaj wykonywany
Ze szczególnym okrucieństwem

Tylko nieliczni szczęśliwcy
Mogą oczekiwać
Nadzwyczajnego złagodzenia kary

W małych miasteczkach
Nie ma idealnych zdarzeń
Są tylko realne
Zdarzenia niedoskonałe
Trwanie
Jedzenie
Rozmnażanie
Wzrastanie
I znowu trwanie
Nawet Bóg się wypiera
Swojego „Niech się stanie”
Gdy patrzy na małe miasteczka
Z kolegami

Ostatnio słyszałem
Że czas ruszył
W małych miasteczkach
Więc pojechałem sprawdzić
Czy to nie kolejne kłamstwo
Szklanookich
Błąkałem się
Pośród woni przemijania

Rzeczywiście
Czas nadrabia zaległości

Małe miasteczka
Umierają pośpiesznie
Umiera zapach jaśminu
I końskiego nawozu
Znikają bezzębni starcy
W szarych kaszkietach
Chude psy nie walczą
O resztki ze śmietnika
Tylko wino nadal jest tanie
W małych miasteczkach
Kobiety i śpiew

Ale i tak
Nienawidzę małych miasteczek

Tutaj

Tutaj wszystko jest jakieś inne
Każdy dzień jak senny majak
Niebo rzadko bywa różowe
Dziewczyny nie wabią urokiem

Tutaj wszystko jest jakieś pozorne
Psy nie podnoszą nogi pod drzewem
Śnieg wygląda jak popiół
Wiatr tylko rozrzuca śmieci

Tutaj wszystko jest dosyć ponure
Nawet kwiaty i ptaki milczące
Może śmierć jest nieco weselsza
Lecz nie do końca, bo bezzębna

Tutaj co wieczór przychodzę
Zapalić gorzkiego papierosa
Pogłaskać psy bezdomne
I wypić wino gronowe „Sofia”

Tutaj, gdy wino wypiję
(ta „Sofia” jest całkiem niezła)
Idę na spacer ulicą

Która nigdy nie tętni życiem

Tutaj patrzę na tramwaj
Jak sierota rozkiwany na boki
Patrzę na ludzi bez twarzy
Zostawili je w domach

Tutaj nic się nie dzieje
Tutaj wiosna nigdy nie przyjdzie
Tutaj czas się zagina
Tutaj kończy się przestrzeń

Dom naprzeciwko

Ten dom stoi naprzeciwko
Widzę go zawsze co rano
Gdy siadam z herbatą przy biurku
Zapalam papierosa
I zaczynam pisanie
Dom jest jak wielka głowa
Dzieło rzeźbiarza Mitoraja
Oparty brodą o kamienne podwórko
Uśmiecha się do mnie dyskretnie
Jakby znał tajemnicę
Zamkniętą szczelnie
W czterech ścianach
Dom ma twarz rumianą
Jak kucharz albo rzeźnik za rogiem
Bo tynk mu odpadł jesienią
I odsłonił tkanę cegły czerwonej
Od policzków
Aż do ust progu
Oczy - wielkie i czarne
Czasem jaśniejają odbitym błękitem
Na czole zmarszczki tajemnych kabli
Korona z gołębi - na rynnie
Wieczorem oczy zapala

Każde innym kolorem
I w każdym przedziwny teatr
Razem teatrów jest osiem
Koło północy zamyka powieki
Szybko zasypia zmęczony
I mruży przez sen historie
Które usłyszał od kotów

Gdy odchodzi noc

Jest taka pora
Gdy milkną słowiki
Zasypia mój ogród
Na krótko
I odchodzi noc
Po cichu

Wtedy
Dziwne rzeczy się dzieją
W moim kamiennym domu
Jaśniejże ściana
A ona wchodzi
Ubrana w płaszcz
I nic pod nim

Zdejmuje go powoli
Zbliża się
Nachyla
Czuję jej zapach
Lecz gdy wyciągam rękę
Odchodzi
Jak manekin
Wrażliwy na dotyk

Nasza ulica

Nasza ulica jest całkiem zwyczajna
Chociaż są tacy
Którzy twierdzą inaczej

Rzeczywiście
Przecież mamy swojego poetę
Zawsze siedzącego na progu
Z papierosem w dłoni
I karcianego oszusta
Sławnego w całej okolicy
(On też nieźle posługuje się nożem)
Mamy łysego kota
I największy bluszcz w mieście
Spinający ściany
Naszyc domów
Mamy także swoje drzewo
W rogu kamiennego podwórka
I drugie, przy trzepaku
Gdzie dawno temu
Całowaliśmy się z dziewczynami
(Wtedy jeszcze nosiły warkocze
A niektóre
Ukrywały małe piersi

Pod sukienkami)
Tak, mamy też dzieci
Przyszłość naszej enklawy
I gołębie
Którym łamiemy skrzydła
Nie przez okrucieństwo
Okaleczone łatwiej złapać
Na niedzielny obiad

Jednak w naszych domach
Nie ma już okien
Są tylko symbole nadziei
Na ścianach
W dzień
Odpryski słońca
Wieczorem
Pochód dusz
Wyrzuconych z nieba
Noc
Pośpna i naga

Więc zwyczajna czy nie
Ta nasza ulica?

Być może

Nie można wykluczyć
Takiej możliwości
Że wcale nas nie ma
Tak jak nie ma sennych zjaw
Albo potworów
Z narkotycznych wizji
Być może
Jesteśmy tylko koszmarem
Bytu nieskończonego
Lub ideą
Wiecznej istoty
Być może
Tylko nam się wydaje
Że istniejemy i poznajemy
Tak jak wydaje się szczerom
Butnym i naiwnym
Pozornym znawcom labiryntu

Na drugim brzegu rzeki

Dzień był letni, upalny
Ścieżka wśród pokrzyw i dzikich malin
Skończyła się nagle za zakrętem
Zwolniłem kroku, stanąłem zdumiony
Bo tu nie miało być rzeki

A jednak mapy kłamią
Leniwa i siebie pewna
Toczyła wody z niewzruszonym majestatem
Słoneczną doliną
Zielona wstęga

Zszedłem na brzeg, piaszczystą łączę
Ostrożnie zanurzyłem stopy
Była ciepła jak kobiece wargi
I jak one rozchyłała przede mną
Tajemną otchłań, niebezpieczną dosyć

Na drugim brzegu rzeki
Świat był mniej skromny, piękniejszy
Kwiaty wabiły kolorem, obłoki jasne
Drzewa kształtem podobne do dziewczyn
Grały świerszcze

Stałem tak niezdecydowany
Nad ciepłą, moką tajemnicą
I wtedy przyszło olśnienie
Mam przecież lornetkę, którą
Bez ryzyka drugi brzeg przybliżę

Prawda była radosna
Te kwiaty to zwykłe maki i chabry
Drzewa kształtne - topole i wierzby
W koronach splecionych gałęzi
A brzeg bagnisty, na dokładkę

W ten prosty sposób zyskałem dowód
Że wiele nam się tylko wydaje
I siadłem zadowolony
Na moim piaszczystym brzegu
Wśród moich pokrzyw i malin

Srebrny talerz

Podobno
Gwiazdy to dziury w niebie
Zrobione kulami
Zwykłego karabinu
W okolicznościach
Blżej nieznanym nawet poetom
Podobno
Dopiero za nieboskłonem
Jest prawdziwe światło

Na pewno!
Te niby-gwiazdy
Są na to oczywistym dowodem

Pogląd ciekawy
Pewnie dlatego
Nie uczą go w szkołach
Pewnie dlatego
Podoba mi się
Bardziej
Niż na przykład
Teorie marketingowe
(No i nie jest tak śmieszny jak one)

Ludzie mówią
Że jestem naiwny
Że przecież nauka
Loty kosmiczne
Zysk
Produkt
Sprzedaż...

Ale ja
Mam w dupie te nowomodne teorie
Jem chleb
Patrzę na Księżyc
I wiem
Że to srebrny talerz mojej babci
Który odleciał kiedyś
Z ogrodu

Nad stawem

Kwiaty
Upojone pocałunkami motyli
Zasypiają
Drżą jeszcze lekko
Nasycone
Zamykają
Wilgotne płatki
Dotykają się łodygami
Czule
Jak łabędzie
Oniemiałe z rozkoszy

Ultima Thule

Można rzec
Królem jestem
Ciemności
Nikt nie zna urody mroku
Jak ja

Nie potrafię
Uczynić wschodu
Ni zachodu Słońca
Nie dostrzegam
Piękna i dobra
Rzeczy zwyczajnych
Wątpię
W szczerłość wiary
Potęgę wiedzy
(I odwrotnie)

Dlatego
Wybieram ekstazę błyskawic
Wielbię Erynie
Żyję z upadłymi Menadami
Gnam powozem Selene
Przed siebie

Strącam gwiazdy
Szukam swojej
Ultima Thule

Axios

Jaki jesteś piękny
Gdy stoisz nagi
Na brzegu Axios!
Zazdrozczę
Kropłom wody
Liżącym twoje ciało
Chciałbym chociaż
Nałożyć ci chlamidę
Którą zawsze nosisz
Z taką
Niedbałą elegancją
Chciałbym tylko
Dotknąć smukłych nóg
I ramion
Zanim Zefir
Nagłym tchnieniem
Zmieni lot
Twojego dysku

Gorzki smak samotności

Jak okiem sięgnąć - step
Spokojnych traw
I kwiatów nienazwanych ocean
Cisza
Ma tutaj sens metafizyczny
A ja
Sam nie wiem
Przedstawienie to
Czy rzeczywistość

Idę powolli
Pośród swego bogactwa
Głowę mam uniesioną
Tylko gorzki smak samotności
Wypełnia mnie
Boli
Jak rana płonąca
Po zatrutym cierniu

Podobno gdzieś tam
Jest góra Turgen Uul
A za nią miasto
Gdzie spotykają się samotni

Lizą swoje piekące rany nawzajem
Potem odchodzą
Wbijają nowe ciernie
Taki jest wyrok
Samotności

Ale ja
Nie chcę nowych ran
Dlatego tam nie zmierzam
Idę w przeciwnym kierunku
Bo przecież
Wystarczy jedna Twoja myśl
Bym znalazł właściwą drogę
I ujrzał Cię znowu

Kara

Kiedyś klęczałem
Pijąc ze źródła
Poznawałem
Wielką tajemnicę wiary
Gdy inni
Pili wino ze złotych pucharów
Śmiali się
Pod namiotem cyrku

Oni poszli dalej
Szczęśliwi
W barwnych szatach
Ja zostałem
By poznawać granice
Między geniuszem
I obłędem
Wiedzą
I wiarą

To jednak było zuchwałe
Ukarano mnie
Zwątpieniem

Imperatyw

Nie wiedział skąd
Wpadł mu do głowy
Ten pomysł
Jednak nienowyy
By zabić Boga
Przynajmniej w sercu

Natrętny imperatyw
Mucha brzęcząca
Nie dawał spać
W umyśle ginącym
Jak piana na morskim brzegu
Ślady zostawiał

Rankiem do pracy
Przystąpił z zapalem
A że zdolny to i lekką ręką
Stworzył coś na wzór
Nanorobota
I umieścił go w sercu

Eksperyment z pozoru łatwy
Bóg to przecież abstrakcja

Serce zaś zwykły mięsień
Jak kurze udo
Czy golonka w piwie
Na kolację

Niestety
Albo i dobrze
Abstrakcja i mięsień
Jednym stanęli frontem
Zabili nanorobota
Jego twórcę potem

Upadek

Upadłem
I wstać nie zamierzam
Dopóki karły strzelają na oślepa
Robią tak zawsze
Gdy nie mogą zrozumieć
Wyższej istoty
Więc sobie poleżę na trawie
Poczekam
Aż im się skończą ślepe naboje
Nawet argumenty
Mają na niby

Żegnaj

Żegnaj
Na polu bitwy
Zasną samotny
Chmurą
Odpłyną me skrzydła

Żegnaj
Trawi mnie ogień
Królów
I gwiazd nocnych
Majaczy przystań

Żegnaj
To tylko popiół
Na wietrze
Pamięć
Zostanie czysta

Żegnaj
Powrócę kiedyś
Jak wraca liść
Kropla wody
I wiatr

Odpoczynek

Nasiona
Ciepłym deszczem
Spadły
Na wilgotną bruzdę
Ziemia
Wygięła się po horyzont
Lekkim łukiem
Wzgórza zafalowały
I łąki

Zadrzała

Po chwili
Oddychała już spokojnie
Siewca
Położył się
Na płatkach jaśminu
Zasnęli oboje

Ostrożność

Ten spacer brzegiem oceanu
Był jak spokojny sen
Szczęśliwego człowieka
Który nie wie
Że codziennie umiera

Szedłem nieśpiesznie
Uważnie stawiając stopy
Aby nie rozgnieść muszli ślimaka
Lub nie zostać sprawcą
Innego dramatu

Z lewej strony
Kusiły trawy i wrzosa
Z prawej
Głębia oceanu
Ja szedłem brzegiem ostrożnie

Czasem stanąłem
Patrzyłem
Na idealną przestrzeń
Szarości wody i nieba
Łączyły się w miłosnym uścisku

Wędrówka dobiegła kresu
U stóp Lizard Point
Dotarłem jak można najdalej
Będąc człowiekiem
Tak ostrożnym

Mogłem już tylko wrócić
Albo skoczyć w lubieżne fale
I chociaż trochę poznać głębię
Drżącym umysłem
Pielgrzymia

Jednak jak zwykle
Wybrałem to co najłatwiejsze
Drogę do domu brzegiem oceanu
I nietrwale ślady
Na piasku

Dlaczego

Dlaczego Bóg
Okiem łaskawym
Patrzy na wodę, ogień i wiatr
A powieki zamyka znużony
Gdy widzi swój
Ostateczny eksperyment ?
Zmęczony demiurg
Mógł przecież stworzyć
Człowieka wcześniej
Na przykład w środę
Gdy nie był taki śpiący
Mógł też pańskim gestem
Dać więcej wiary i rozumu
Albo odwrotnie
Wtedy może
Strach byłby obcy
Glinianym figurkom

Szalona podróż

„Płyniemy!”
Ryknął kapitan
Hakiem wskazując kierunek
„Odwiązać cumy!
Ster prawo na burt!
Ja idę napić się rumu!”

Syreny wzniosły pieśń
Porwaliśmy w dłonie wiosła
Reszta załogi
Chwyliła za takielunek
Nastrój panował radosny

Ocean nieco suchy
Lecz my nie zważając na to
Stawialiśmy żagle
I nawet fakt
Że powiesiliśmy kucharza
Specjalnie nas nie martwił

Płynęliśmy z lekkim wiatrem
Ze cztery w skali Beauforta
Podróż była przyjemna

Chociaż zawisł też bosman
A ktoś wybił szyby w bulajach
Złamał maszt
I wyrzucił kompas

„Statek przecież nie nasz!”
Wesoło zawołał kapitan
„Więc taka mała demolka
Czy parę trupów
To małe piwo!
No dalej załoga!
Rozwalcie jeszcze pokład!”

Delfiny skakały sprężyste
Dziób pruł odporne morze
A przed nami
Krzyż Południa
Nocami wskazywał drogę
Do wysp koralowych
Cichych atoli
Pełnych bananów
Kwiatów
Pięknych kobiet...

Byliśmy już prawie u celu
Szalonej z pozoru eskapady

Gdy nagle kapitan
Jednym zdrowym okiem
Ujrzał coś nadzwyczajnego
Stał się blady
I spadł z mostka na pokład

„Panowie”
Rzekł cicho
Łamiącym się głosem
„Siostra Gryzelda i doktor Johann
Są tutaj
I niosą każdemu porcję bromu”

Optyka

Zarówno o wschodzie
Jak i o zachodzie Słońca
Nawet zwykły baran
Rzuca ogromny cień
Szczególnie
Gdy stoi na szczycie wzgórza

Stado baranów
W tych samych okolicznościach
Rzuca cień jeszcze większy
Zwielokrotniony
Również ich głos
Brzmi wtedy donośnie

Jednak
Gdy Słońce stanie w zenicie
Znikają pozory wielkości
Wiedzą o tym tygrysy
Śpiące spokojnie
Pośród herbacianych krzewów

Rzeka

W połowie drogi
Rzeka całkiem już spokojna
Pozwala odpocząć
Zmęczonym ramionom
Zostały z tyłu
Skalne progi i wodospady
Piękne
Lecz niebezpieczne

Niektórzy mówią, że to nudne
Płynąć taką leniwą rzeką
Cóż, widać nie znają geografii
Najwięcej przecież
Dzieje się na brzegu
Gdzie pola, przystanie, osady...
Spokój
I myśl natrętna
Jaki jest sens tego wyścigu

Bo może lepiej
Nie być zwycięzcą
Pierwszym
W kipieli oceanu

Może warto
Zatrzymać czasem łódź
Podumać
Pogadać z tubylcami
Zjeść egzotyczny owoc
Poczekać

Mężczyzna w kawiarni

Za oknem kawiarni
Przy rue d'Alger
Okragły stolik
Biały obrus
Kilka tulipanów w wazonie

On siedzi
Czyta wiersze
Tego młodego Rimbaud
Kawa stygnie w filiżance
Kelnerka (jakiż ona ma nogi!)
Uśmiecha się
Podchodzi
Zmienia popielniczkę

Jest całkiem już siwy
Ale skóra na twarzy dość gładka
I oczy takie błyszczące
Zapala drugiego papierosa
Wypija łyk kawy
Pisze coś
Na małej kartce
Kremowego papieru

Potem
Chwilę rozmawia z damą
Przy sąsiednim stoliku
Pewnie się znają od lat
Jak stare drzewa
Nad Sekwaną
Wychodzą oboje
Kupują gazety
I pistacje
W drodze nad rzekę
Znikają
Za rogiem Rivoli

Myślę, co jest na tej kartce
Czy pisał o rzeczach, których nigdy nie zrobił
Szansach, których nie wykorzystał
Życiu, które minęło...
A może
O nogach kelnerki
Albo chwilach rozkoszy
W ramionach kobiety

Czy to byłem ja?

Rozpalam ocean

Nie pozwolą mi zasnąć
Dłonie niecierpliwe
Biodra w owal skryte
Piersi wyspy brązowe
I łona
Pachnąca łąka
Wtulam w nią twarz
Rozpalam perłowy ocean
Zrywam miriady gwiazd
Spadam w następną przestrzeń
I konam
Płacząc jak drzewo

Zamek

Budowałem swój zamek
Na twardej skalnej opoce
Wysoko ponad doliną
Nosilem gładkie rzeczne kamienie
Czasem ostre głazy z piargów
By budowla
Nie była jednolita
Praca przyjemna
I niezbyt męcząca
Szczęśliwy
Często siadywałem pod jarzębiną
Podziwiając widok
Z mojego szczytu

Mieszkańcy doliny śmiali się ze mnie
Nie wierzyli
Że można budować z kamieni
Do tego tak wysoko i samotnie
Najbardziej szydzili ci
Którzy nie mieli domów
Wtórowali im żyjący w chatach
Z błota i gałęzi
Tym, którzy mieli domy z cegieł

Nie było już do śmiechu
Mówili jedynie
O wyższości wypalanej gliny
Nad kamieniem
Właściciele bogatych pałaców
Patrzyli zazdrośnie
Czy moja budowla
Nie przyćmi urodą i mocą
Ich siedzib
Wzniesionych zbiorowym wysiłkiem
Tylko nieliczni panowie
Okolicznych zamków
Mieli dla mnie uznanie
Oni znali rzadką sztukę budowy
Na szczytach

Nie minął rok
A gmach już lśnił w słońcu
Pierwsi strudzeni wędrowcy
Zachodzili w moje progi
Mówili, że droga do zamku trudna
Ale warto ją było pokonać
Dla magicznych wnętrz
Wykutyh w skale komnat
Ciepła kominka
I herbaty z rumem

Widok z wieży
Też był godną zapłatą
Za wysiłek
Niektórzy
Zostawali na noc
Inni znacznie dłużej
Już nie byłem całkiem samotny

Ludzie z doliny
Przestali się śmiać
Mówili tylko z pogardą
O moim zamku i o mnie
Podobno też
Opowiadali przyjezdnym historię
Mojego szaleństwa
Niektórzy
Sprzedawali pamiątki
Małe zameczki
Rzeźbione w drewnie
Wiem to
Od prawdziwych wędrowców

Pewnej nocy miałem sen
Pękła tama w górze doliny
Gniewna woda zmyła lepianki
I zburzyła pałace

Wszyscy zginęli
Tylko panowie na zamkach zostali
Niewzruszeni

Kilka dni później
Zawitał starzec
Dziwnie znajomy i krzepki
Mówił o strasznej powodzi
Która oczyściła dolinę

Może teraz złączą budować
Jeśli nie z lepszej materii
To przynajmniej z głową
Nie na samym brzegu rzeki
Powiedział
Szkoda tylko
Że smród trupów tak potworny

Satori

Dopiero ta jesień
Przyniosła zrozumienie
Widok kropli wody
Na żółtym liściu
Uspokoił
Już bez pośpiechu
Żyłem dalej
Jak obłok
Odbity w wodzie jeziora

Chujku

Słuchałem audycji
Pod tytułem
„Pod tytułem”
Zaproszony był do niej jakiś facet
Ponoć poeta
Nazwiska nie pamiętam
Coś z brzozą miało
Wspólnego

Mówili z prowadzącym
Panem redaktorem
O japońskiej poezji haiku
Ten od brzozy
Nawet wydalił z siebie wiersze
Jak to zwykle bywa
Obaj nie wiedzieli
O czym mówią
A było to raczej chujku niż haiku
(Ostatecznie epigramat
Niezbyst błyskotliwy)

Pomyślałem
Że też sobie napiszę takie chujku


Jak ten gość w radiu
To w końcu nie jest sztuka
I proszę:

Wysrałem się rano
Papier jest
Brązowy
Dach mojego domu

No, jakie piękne chujku
Mogę mieć tego kilka tysięcy
Dziennie wyrobię kilkanaście
Takich małych chujków
Proszę wydawców
I Świetlickiego Marcina
O kontakt

Spis wierszy

Tysiąc kawałków	7	Dlaczego	51
Sen	9	Szalona podróż	52
Gra	10	Optyka	55
Człowieka wykuwa się młotem	12	Rzeka	56
Zdarzenie	13	Mężczyzna w kawiarni	58
Pod Mniczem	15	Rozpalam ocean	60
Dar	16	Zamek	61
Łatwość	17	Satori	65
Dzisiaj	19	Chujku	66
Nadzieja	21		
Nienawidzę małych miasteczek	22		
Tutaj	25		
Dom naprzeciwko	27		
Gdy odchodzi noc	29		
Nasza ulica	30		
Być może	32		
Na drugim brzegu rzeki	33		
Srebrny talerz	35		
Nad stawem	37		
Ultima Thule	38		
Axios	40		
Gorzki smak samotności	41		
Kara	43		
Imperatyw	44		
Upadek	46		
Żegnaj	47		
Odpooczynek	48		
Ostrożność	49		



"Poezja Tomasza Sobieraja to niezwykle rzadkie we współczesnej literaturze połączenie postawy intelektualnej, analitycznej, z twórczym napięciem i psychologiczną głębią".

Poetry Review

"Twórczość tego artysty wymyka się wszelkim kwalifikacyjnym ramom, sieje intelektualny ferment, nieznośny dla tkwiących w schematach, zindoktrynowanych kulturowo odbiorców".

Philosophie und Literatur

"Wiersze Tomasza Sobieraja to żywioł górskiej rzeki zaklęty w lód".

Arte

"W jego poezji ważne jest to, co niepowiedziane, a czego możemy się jedynie domyślać, czytając między wersami".

Dichtkunst

"W wielu utworach poety wyraźne jest odejście od dziedzictwa europejskiego, są mocno osadzone w chińskiej filozofii. Autor stosuje ciekawą syntezę *fengliu*, *chan* i *daoxue*, przez co jego poezja staje się z jednej strony narzędziem kształcenia moralnego, z drugiej jest wyrazem zachwytu człowieka szczęśliwego nad Naturą. Podmiot liryczny staje się i jednocześnie naucza jak zostać *xian* i *sheng*".

Xin Dao

ISBN 978-83-908983-2-2



9 788390 898322 >